

Henry Szor

“Kiedy myślę o Łodzi... – historia życia jako trudne wspomnienie”

Nie ustaniemy w poszukiwaniach,

A kresem naszych wszelkich poszukiwań

Będzie dojście do punktu wyjścia

I poznanie tego miejsca po raz pierwszy

T.S. Eliot, *Cztery kwartety: Little Gidding, V*, (wers 27-29)

tłum. Krzysztof Boczkowski

Wprowadzenie

Na początek chciałbym powiedzieć kilka słów o tym, w jakim języku mam mówić ten wykład – to jest pozornie trywialne pytanie, raczej o znaczeniu technicznym. Jednak wszyscy wiemy, że wybór języka ma istotne znaczenie, a w kontekście dialogu pomiędzy Niemcami, Polakami i Żydami ma znaczenie decydujące. Christopher Bollas, brytyjski psychoanalityk, definiuje „idiom” jako „wymiar osoby” (osobowości), który znajduje swoją egzystencję, czyli który zaczyna istnieć przez specyficzny wybór i wykorzystanie obiektu. W tym zawężonym sensie „być” i „współbrzmieć” stają się tożsame. (Bollas 1981). Cóż mogłoby być bardziej fundamentalne dla „idiomu” ludzkiego, być jego osobistym „odciskiem palca”, niż język, którego używa w konwersacji i dialogu.

Urodziłem się w Łodzi w 1949 roku i język polski był pierwszym językiem, którym mówiłem, moim „językiem ojczystym”. Kilka lat później, kiedy miałem 6 lat moja rodzina przeniosła się do Niemiec, gdzie żyłem następne dwadzieścia lat. Niemiecki „wypędził”, w pewnym sensie „substytuował” mój polski i od tego czasu stał się moim drugim, szczególnym „językiem ojczystym”.

W roku 1977 wyemigrowałem do Izraela, do kraju gdzie odtąd mieszkam i mówię po hebrajsku, który stał się dla mnie najbliższym mi językiem, mimo iż nigdy nie stał się moim językiem ojczystym jak polski, którym nie władam lub niemiecki, którym mówię płynnie. Znam jidysz, którego nigdy się uczyłem, ale który używany był w domu obok polskiego i niemieckiego, i którego używam jako psychoterapeuta podczas rozmów z moimi pacjentami, którzy przeżyli Holokaust. Oczywiście mówię również po angielsku, tym globalnym esperanto, w języku, którym dzisiaj mówię do państwa. Mógłbym godzinami mówić o tym dylemacie. W jakim języku mam mówić do państwa, który język jest odpowiedni do dialogu? Rozmawiam po hebrajsku z moją żoną, z moimi dziećmi, moimi przyjaciółmi w Izraelu, moimi kolegami i pacjentami, którzy nie przeżyli Holokaustu (non survivor patients). Ale Schlomo Ydov, izraelski pieśniarz, który emigrował do Izraela z Argentyny jako 13-latek śpiewa:

„Wstaję rano po hebrajsku

Po hebrajsku piję kawę

I po hebrajsku płacę wysoką cenę, za wszystko co kupuję.(...)

Bez wysiłku myślę i piszę po hebrajsku

I uwielbiam kochać cię wyłącznie po hebrajsku

To jest wspaniały język

Nie chcę mieć innego języka

Ale w nocy, w nocy ciągle śnię po hiszpańsku” (Ydov, 1982)

Więc jaki jest język moich snów?

Chciałbym mówić do Państwa po polsku, w języku, którym mówiłem jako dziecko.

Być może pewnego dnia będę w stanie to uczynić. Chciałbym mówić do Państwa po niemiecku i ten język nie byłby skażony narodowym socjalizmem. Ale głęboko w moim sercu jednak jest. Dan Diner napisał kiedyś w swoim wystąpieniu na

konferencji o stosunkach polsko-niemiecko-izraelskich i o dialogu: „Jest to (niemiecki jako język skażony narodowym socjalizmem) rzeczywiście tragiczna okoliczność, tragiczna, paradoksalnie szczególnie dla Żydów, kiedy weźmie się pod uwagę kontekst Europy środkowej i wschodniej. Tam kiedyś język niemiecki był językiem ludzi wykształconych i naukowców, i w rzeczywistości był również językiem żydowskim. Felix Pollack, austriacko-żydowski emigrant i tłumacz klasyków niemieckich, opisał kiedyś paradoksalne stosunki pomiędzy Niemcami i Żydami w następujący sposób: „Jedna grupa jest niemiecka, zaś druga umie w nim mówić”.¹ Oznacza to, że język niemiecki miał tak uniwersalne znaczenie, że jego rola i wpływy sięgały aż do następującego po nim czasu”. (Diner 2002) Pragnąłbym, abyście wszyscy państwo mogli zrozumieć hebrajski i abym ja mógł mówić do Państwa w moim języku dnia codziennego. Ale być może moim największym życzeniem jest, abym mógł z Państwem rozmawiać w jidysz, w języku, w którym rozmawiam z moimi pacjentami, którzy przeżyli Holokaust, w języku, w którym mówiło 250.000 Żydów w getcie w Łodzi.” Koniec mojego snu. Ponieważ wszystkie te języki, polski, niemiecki, hebrajski i jidysz znane są, co najmniej niektórym spośród nas, ale jednak nie dla wszystkim, wybrałem angielski, ten język bez pamięci, tę globalnie korzystną „chorobę”. Niechaj Bóg i Państwo mi przebaczą.

Mój wykład

Pragnę rozpocząć swój wykład od tego wiersza T.S. Eliota, ponieważ tym właśnie jest dla mnie poszukiwanie, poszukiwanie miejsca, gdzie wszystko się zaczęło, poszukiwanie domu, pamięci o domu, staranie, by myśleć o nim i „poznać to miejsce po raz pierwszy”. W wierszu Eliota poszukiwanie jest powrotem, poszukiwanie jest powracaniem. I rzeczywiście, zanim powróciłem do Łodzi, by teraz

¹ W moim przypadku istnieje tożsamość obu grup: Fryderyk Leidinger, mój drogi niemiecki przyjaciel, przygotował tłumaczenie mojego wystąpienia na język niemiecki, co odpiera stwierdzenie Pollacka.

spotkać się i mówić z wami, powracałem do Łodzi myślą², jak wiele razy przedtem, by wędrować wśród „ruin pamięci” (Ida Fink, *Skrawek czasu [A Scrap of Time]*), by rozpocząć swoje poszukiwania pamięci o Łodzi, myśląc o Łodzi i „poznając to miejsce po raz pierwszy”.

Nie jest mi łatwo mówić do was dzisiaj tutaj w Łodzi. Łódź to moje miasto rodzinne, moje miejsce urodzenia. Tutaj spędziłem pierwszych siedem lat życia, swoje dzieciństwo, i tutaj powinienem czuć się jak w domu (*zu Hause*). A ja, na odwrót, czuję się „niesamowicie” (*unheimlich*) (Freud, 1919, *Das Unheimliche*, GW XII, str. 227–268, wyd. polskie „Niesamowite” w: Zygmunt Freud, *Pisma psychologiczne*, Warszawa, 1997). Eva Hoffman nazywa Kraków – swoje rodzinne miasto, które opuściła mając 14 lat – „rajem” (*Zagubione w przekładzie*). Dlaczego ja nie czuję niczego takiego? Czy to dlatego, że byłem dwa razy młodszy niż ona, kiedy moja rodzina wyjechała z Polski, czy dlatego, że „Łódź to nie Kraków”? Może jest tak, że Kraków aż prosi o miłość, pozwala się kochać, podczas gdy Łódź to „małe, podłe miasto”, które po wojnie nigdy nie podniosło się z upadku i nie odzyskało swojego niepowtarzalnego charakteru? Czy to dlatego, że „moi zmarli” są z Łodzi, a nie z Krakowa? Czy to dlatego, że po prostu jesteśmy innymi ludźmi? W zasadzie nie wiem, dlaczego nie postrzegam Łodzi jako „raju”, dlaczego nie czuję się tu jak u siebie w domu. Z drugiej strony nie czuję się obco, odczuwam nawet pewną zasadność swej obecności, pewną zażyłość – a jednak, na przekór wszystkiemu, jest to zażyłość osobliwa: kiedy wracam do Łodzi, czuję się jak „obcy u siebie w domu”.

² Po hebrajsku „powracać” to לשוב (*lashuv*), i od tego rdzenia pochodzi termin תשובה (*tshuva*). *Tshuvah* ma wiele znaczeń: 1) odpowiedź na pytanie, 2) rozwiązanie zagadki lub problemu, 3) wyrzuty sumienia, powrót do dawnych wierzeń lub przekonań, 4) powrót, często powrót do domu, 5) okres, cykl, epoka (*Eitan Avnion*, str. 1802).

Shoshana Ronen w swej książce *W poszukiwaniu pustki. Podróże do Polski we współczesnej literaturze izraelskiej* (Fundacja Judaica, Kraków 2001, tłum. Magdalena Soszka i Ewelina Zakrzewska), opisuje podróż do Polski jako powrót, nawet dla tych, którzy nie urodzili się w Polsce. Dlatego też sednem podróży do polski jest pamięć i wyobraźnia, wizualizacja tego, co zostało zagłuszone i wymazane.

Urodziłem się w roku 1949, po wojnie, i wyjechałem z Łodzi w roku 1957. Bardzo niewiele pamiętam z tej powojennej Łodzi, skąd moja matka bardzo chciała wyjechać, ponieważ dla niej miasto to było „wielkim więzieniem”. Getto jest mi o wiele bliższe – tak jakbym w nim mieszkał razem z moimi dziadkami, rodzicami, ich rodzeństwem, moją siostrą Rosą. W tym getcie nie było powstania takiego jak w Warszawie. Łódź to nie Kraków, jak napisał Yossi Hadar (1994), izraelski psychiatra i pisarz:

“Theresienstadt to nie Jerozolima.

Nie da się śpiewać pieśni tęsknoty.”

Szkoda, że nie urodziłem się w Krakowie, w mieście, które pozwala na miłość. Ale co mogę zrobić – jestem *Lodzermensch*³. Wydaje się, że sami Polacy nie lubią Łodzi, że [Łodzianie] czują się gorsi w porównaniu z Warszawą czy Krakowem, że czują się nieswojo wobec tej przedwojennej Łodzi, tego „Manchesteru Europy Wschodniej”, z przedsiębiorcami, robotnikami i „nowoczesną” wielokulturowością.

Ale mój ojciec kochał Łódź. On znał świat sprzed *Shoah*, znał Łódź, zanim powstało w niej getto – w przeciwieństwie do mnie. Mój ojciec to był prawdziwy *Lodzermensch*. Uwielbiał boks i piłkę nożną oraz zimne, jasne polskie piwo w gorące miesiące lata. Pracował w branży tekstylnej, kupował pierwsze maszyny włókiennicze, trzymał je nawet w domu w salonie, i te maszyny były jego prawdziwą miłością. Kontynuował zawód swojego ojca Mosze, który był robotnikiem pracującym w branży włókienniczej. Dorastał więc pomiędzy takimi maszynami, które na początku stanowiły nieodłączne wyposażenie ich mieszkania. Przed wojną, jako młody człowiek, w zasadzie nigdzie nie przynależał – nie był ani robotnikiem, ani prawdziwym przedsiębiorcą. Walczył o przetrwanie, mając nadzieję, że jego talent i smykałka do maszyn uczynią go bogatym. W roku 1912, kiedy się urodził,

³ *Lodzermensch* to termin w języku jidysz, ukuty przed Zagładą, próbujący opisać nowy „typ” Żyda: niewierzącego, praktycznego, pragmatycznego, nowoczesnego, pracowitego, będącego nieodrodnym dzieckiem Łodzi.

Łódź przeżywała swój „złoty wiek”, była miastem tętniącym życiem, zamieszkanym przez Polaków, Żydów, Niemców i Rosjan, którzy byli sąsiadami, nie zawsze spokojnymi, ale sąsiadami. To dzięki nim miasto rosło w niewyobrażalnym tempie, tak szybko jak miasta w Ameryce. Kiedy mój ojciec się urodził, Łódź miała około pół miliona mieszkańców, z których ponad jedną trzecią stanowili Żydzi. Zanim Łódź stała się „poczekalnią śmierci” (*Warteraum des Todes*) (Jean Amery) i „przedsiönkiem piekła” (*Vorhoelle*, Oskar Rosenfeld), była „Manchesterem Wschodu”, miejscem magicznym, „Ziemią Obiecaną”, a jej prototypowym obywatelem był *Lodzermensch*. Dla takiego obywatela Łódź nie była „małym, podłym miastem”. Wprost przeciwnie, był on z niej dumny, był dumnym obywatelem swojego miasta. Antypostępowe kręgi określały etos takiego obywatela, mówiąc ironicznie, że “kto nie ma stu rubli, nie jest jeszcze człowiekiem (*Mensch*), a kto ma sto rubli, już nie jest człowiekiem”. Ale *Lodzermensch* powiedziałby pewnie: „Jeśli zarobiłeś sto rubli dzięki swojej przedsiębiorczości, to nie ma w tym nic złego”. W Łodzi, tej wielokulturowej, przemysłowej metropolii, spotkały się nowoczesność i wielokulturowość, skąd powstała ogromna energia, będąca źródłem niezwyklej wydajności, wzrostu i rozwoju, znosząca wartości arystokratyczne, nacjonalizm, religię. Łódź była miastem bez Boga, miastem oddanym industrializacji, wydajności, kapitałowi i pracy; miastem radosnym, upojonym; miastem, które wierzyło w prawdziwość branego serio hasła *Arbeit macht frei*.

A wszystko zaczęło się w roku 1820, kiedy w Królestwie Polskim ustanowiono 17 tak zwanych miast fabrycznych (jednym z nich była Łódź), które miały prawo zatrudniać cudzoziemców, robotników-włóknarzy z zagranicy, zapraszać ich, by osiedli na przykład w Łodzi, mieszkali i pracowali tu, i przyczyniali się do wzrostu produkcji. I rzeczywiście, w odpowiedzi na to zaproszenie ze wszystkich stron zaczęli napływać szczególnie Niemcy i Żydzi, a Łódź stała się ich domem.

Łódź mogła stać się takim miastem, jakim się stała, i przeżyć epokę wielkiego rozkwitu (*Aufschwung*), dzięki tym przybyszom, z których wielu spolonizowało się. Ów proces ekonomiczny przyczynił się do powstania niemieckiej i żydowskiej burżuazji oraz klasy robotniczej składającej się z Polaków i Żydów. Historia Łodzi, przynajmniej częściowo, wiąże się więc z problemem tożsamości Polaków oraz ze szczególnym aspektem dziejów społeczności żydowskiej w Polsce. Powieść polskiego noblisty, Władysława Reymonta, pt. *Ziemia obiecana*, ukazuje, w jakim stopniu w XIX-wiecznej Łodzi ujawniały się ambiwalentne nastroje, nastroje niechęci i ksenofobii.

A wszystko to, cała ta „Ziemia Obiecana”, choć czasem ambiwalentnie odbierana jako “podłe miasto”, była przestrzenią wielu kultur, przestrzenią współczesnej industrialnej koegzystencji, której kres położyła sześćioletnia niemiecka okupacja. Prawie wszyscy łódzcy Żydzi zostali wymordowani, a wraz z nimi wielu Polaków, natomiast Niemcy zostali wypędzeni w wyniku wojennej klęski nazistów. Zanim jednak nastąpiła zagłada „Ziemi Obiecanej”, Łódź stała się dla Żydów, tylko dla Żydów, „poczekalnią śmierci” (*Warteraum des Todes*), a dla mnie zaczęła być tożsama z łódzkim gettem.

Niemniej jednak ojcu udało się wpoić mi, bez zbędnych słów, coś z etosu *Lodzermenscha*, coś z jego dumy, energii, twórczego podniecenia, które musiały wypełniać przedwojenną Łódź. Kiedy Niemcy wkroczyli do miasta dnia 8 września 1939 roku, ojca w nim nie było – uciekł przed armią niemiecką i służył w armii sowieckiej przez całą wojnę. Nigdy nie doświadczył życia w getcie. Ale zostawił w Łodzi swoją żonę Laje oraz trzyletnią córeczkę Rosę. Nigdy ich już nie zobaczył. A po ich śmierci umarł w nim *Lodzermensch*. Po wojnie powrócił ze Związku Radzieckiego do Łodzi, odbudował swoją fabrykę, odnalazł swoje maszyny, które najpierw zarekwirowali a potem pozostawili, uciekając, Niemcy. I fabrykę, i maszyny

zabrali mu jednak komuniści, którzy mianowali go „dyrektorem” jego własnego zakładu. Wszystko to zostawił w Polsce, kiedy w 1957 roku wyjechał do Niemiec, by tam zacząć od zera i wybudować nową fabrykę. I tak na zewnątrz był z niego energiczny, przedsiębiorczy, efektywny, prawdziwy *Lodzermensch*, ale w wymiarze duchowym ten *Lodzermensch* w nim umarł. Ojciec stał się cieniem samego siebie, cieniem człowieka, jakim był przed wojną. Umarł tak, jak umarła przedwojenna Łódź. On umarł wraz z nią, a śmierć ta była wyrazem miłości i wierności miastu, które niegdyś było „rajem Wschodu”, lecz umarło, zostało bezpowrotnie stracone, jak jego pierwsza żona Laje i córka Rosa.

Więc dla mnie i przyjazd do Łodzi i myślenie o Łodzi są powrotem, tak jak myślenie o getcie, w którym nigdy naprawdę nie byłem, ponieważ urodziłem się po wojnie.

Przede wszystkim, mój kochany dziadku, ojciec mojej mamy, Chaimie, którego nigdy nie poznałem – przebac mi! Przebac, że wróciłem do tego miasta, do Twojej Łodzi, gdzie żyłeś i gdzie umarłeś, i gdzie jesteś pochowany. Przebac, że jestem tutaj wraz z Niemcami i Polakami, żyjąc normalnym życiem, podczas gdy Ty w tej samej Łodzi żyłeś nienormalnym życiem i zmarłeś nienormalną śmiercią, głodując i umierając z głodu. Pragnę Twojego przebaczenia, Twojego pozwolenia na nawiązanie żywego kontaktu z tą Twoją nieznośną Łodzią, z tą „poczekalnią śmierci” (*Warteraum des Todes*), z tym przedsionkiem piekła (*Vorhoelle*, Oskar Rosenfeld, *Wozu Noch Welt – Aufzeichnung aus dem Getto Lodz*, str. 11). Być może myślałeś jak Rosenfeld⁴: „Skoro coś takiego było możliwe, cóż pozostaje? Wojna – po co? Głód – po co? Świat – po co?” („Wenn so etwas moeglich war, was gibt es dann noch? Wozu noch Krieg? Wozu noch Hunger? Wozu noch Welt?”).

⁴ Oskar Rosenfeld, pisarz z Wiednia, został przewieziony do getta w Łodzi w roku 1940 i pracował w administracji Rumkowskiego. W roku 1970 odnaleziono jego pamiętnik, który kilka lat później opublikowano pod tytułem *Wozu Noch Welt – Aufzeichnung aus dem Getto Lodz*. Jest to niezwykle dokument życia w getcie.

„Niewiele zostaje do powiedzenia” napisał Oskar Rosenfeld po wywózce dzieci we wrześniu 1942 roku, po „wielkim odliczaniu”. „To, co przychodzi potem, jest zaledwie echem, drzeniem nerwów. Po tym doświadczeniu istnienie nasze, zawsze na granicy śmierci, przyjęło bardzo prostą formę – zostało zredukowane, ograniczone do tego, co niezbędne” („Es gibt wenig noch zu erzählen. (...) Was nachher kommt ist bloss Nachklang, Echo, Zittern der Nerven.. Nach diesem Erlebnis hat unser Dasein, immer am Rande des Todes, eine sehr einfache Form bekommen, sich auf das Notwendigste eingeschränkt.”).

Kilka miesięcy wcześniej, 12 kwietnia 1942 roku, zmarłeś z głodu i zostałeś pochowany na łódzkim cmentarzu. Odmówiłeś przyjmowania pokarmów, skoro Twoje dzieci były głodne. Po takich słowach – cóż pozostaje? Konferencja – po co? Myślenie – po co? Poszukiwanie – po co? Jednak stwierdzenie Adorno, że poezja jest niemożliwa po Auschwitz, przegrało z życiem, a ja jestem częścią tej porażki w obliczu życia.

Pozostaje więc tylko prosić Cię o wybaczenie i mieć nadzieję, że pobłogosławiłbyś mnie za ten „powrót”. A co stało się z Rosą, moją przyrodnią siostrą, oraz jej matką Laje, pierwszą żoną mojego ojca? Przeżyły dwa i pół roku same w getcie (jak wspominałem, ojciec uciekł na wschód i znalazł się, bez możliwości powrotu, w Związku Radzieckim), po czym udało im się uzyskać, co było rzadkością, specjalne zezwolenie na wyjazd do getta w Warszawie, gdzie mieszkali rodzice Laje. Tak więc do getta w Łodzi, Chełmna nad Nerem i Oświęcimia muszę dodać Treblinkę na mojej prywatnej liście cmentarzy na polskiej ziemi, gdzie spoczywają moi bliscy. Inaczej niż w przypadku dziadka, nie chcę prosić ich o wybaczenie, ale raczej powitać je, tutaj w getcie, w swoim imieniu.

Dlatego łódzkie getto, jako ostatnie silne centrum żydowskiego życia w Łodzi, jest mi tak bliskie i jest dla mnie tak żywe, dlatego jest przykładem śmierci za życia

(R.J.Lifton, *Death in Life – Survivors of Hiroshima*), ale także życia mimo śmierci. Dlatego sprawia, że chcę wciąż o nim myśleć, wciąż do niego powracać i wciąż wam o nim mówić.

Ale jak można mówić o łódzkim getcie, o doświadczeniu „poza pojmowaniem” (Dan Diner, *Beyond the Conceivable – Studies on Germany, Nazism and the Holocaust*). Jak sprawiedliwie osądzić działalność *Judenratu* (Dan Diner, ‘Beyond the Conceivable – The Judenrat as Borderline Experience’ w: *Beyond the Conceivable*) i Chaima Rumkowskiego, który szukał ratunku w pracy („naszą jedyną drogą jest praca”, *Unser einziger Weg is Arbeit*)? Jak opisać głód i śmierć, i na koniec „współuczestnictwo w zagładzie siebie samych poprzez podjęcie środków samozachowawczych” (*participatory self-destruction by means of self-preservation*, Dan Diner, ‘Historical Understanding and Counterrationality’ w: *Beyond the Conceivable*), jak mówić o walce o przetrwanie i o triumfie ducha? Oczywiście w ramach tego wykładu nie zamierzam nawet próbować przedstawiania zarysu historycznego. Spróbuję jednak pomyśleć o getcie, zrozumieć pewne zjawiska tam występujące, jakoś to sobie wytłumaczyć, jakoś się z tym pogodzić. Jak powiedział Dan Diner (‘Historical Understanding and Counterrationality’ w: *Beyond the Conceivable*), „o Auschwitz trzeba **pomyśleć** zanim się zacznie o nim pisać jako o fackie historycznym”.

Łódzkie getto jest symbolem Zagłady pod wieloma ważnymi względami, Zagłady rozumianej jako „załamanie cywilizacji”. W centrum Łodzi przez prawie cztery lata, od początku roku 1940 do sierpnia roku 1944, kiedy zostało ostatecznie zlikwidowane, istniało getto – całkowicie odizolowane od społeczności chrześcijan i od reszty świata. Tym różniło się ono od getta warszawskiego, które zdołało utrzymać kontakt ze światem zewnętrznym. Getto łódzkie było totalnie odizolowane, ale widoczne, „odczuwalne” dla innych obywateli miasta. W tej „poczekalni śmierci”

żyło i zmarło 250 tysięcy mężczyzn, kobiet i dzieci. Mieli nadzieję, że dzięki prowadzeniu racjonalnego dialogu z nazistami będą mogli przeżyć, przynajmniej niektórzy z nich. Tymczasem jednak poznali kwintesencję nazizmu, jego brak racjonalności, oraz uwikłali się we „współuczestnictwo w zagładzie siebie samych poprzez podjęcie środków samozachowawczych”. Sądzieli, że jeśli będą pracować jak niewolnicy i udowodnią swoją przydatność, czy może niezbędność w prawidłowym działaniu niemieckiej maszyny wojennej, a potem zgodzą się na poświęcenie jednostek „bezużytecznych”, czyli ludzi starych, chorych, przestępców, a wreszcie dzieci poniżej dziesiątego roku życia, wówczas Niemcy, z pobudek racjonalnych, zgodnie ze swoim interesem militarnym, pozostawią ich przy życiu, a przynajmniej nie wymordują ich natychmiast, tak by można było dotrzeć do wyzwolenia przez Armię Czerwoną. I tę koszmarną grę Żydzi prawie wygrali: w lipcu 1944 roku, kiedy żyło ich jeszcze około 60 tysięcy, Armia Radziecka była 120 kilometrów od Łodzi, gdy zatrzymała swą ofensywę na linii Wisły. Ale kiedy w sierpniu 1944 roku getto zlikwidowano, pozostało przy życiu tylko około 600 mężczyzn z *Aufrauemkommando*. Uniknęli śmierci dzięki ucieczce i doczekali wyzwolenia przez Armię Sowiecką w styczniu 1945 roku.

Jednak łódzcy Żydzi nie tylko przegrali w tej grze, ale doświadczyli także tego, co jest „poza pojmowaniem”: antyracjonalnego charakteru nazizmu. „Nic nie jest tak ważne jak eksterminacja wszystkich Żydów” (*Ausrottung aller Juden ueber alles*). Doświadczyli następnie dehumanizacji, zaznali Kainowego „Czyż jestem stróżem mego brata?” (Henry Szor, „Historia Kaina i Abla. Żydowski punkt widzenia na sprawę przebaczenia”, ‘The Story of Cain and Abel – A Jewish Point of View on Forgiveness’). Łódzkie getto umarło bez heroicznego powstania, takiego jak w Warszawie, bez bohaterów, bez ofiar w imię honoru, bez poświęcenia dla pamięci historycznej, bez „uświęcenia Bożego imienia”, *kiddush hashem*.

Cóż więc pozostaje w pamięci na temat reakcji Żydów na to, co było „poza pojmowaniem”? Co oprócz „współuczestnictwa w zagładzie siebie samych poprzez podjęcie środków samozachowawczych”, który to współudział wciąż prześladuje myślenie Żydów o sobie samych? Reakcja Żydów na to, co działo się w łódzkim getcie, można opisać terminem „uświęcenie życia”, *kiddush hachaim*, w odróżnieniu od śmierci męczeńskiej, „uświęcenia Bożego imienia”, *kiddush hashem*. W ciągu czterech i pół roku istnienia łódzkiego getta, jego 50 tysięcy mieszkańców zmarło z głodu. Każdy z nich został pochowany w osobnym grobie w specjalnej części łódzkiego cmentarza, w „sektorze getta”. Akt zgonu wręczano rodzinie, a drugi egzemplarz był przechowywany przez *Chevre Kadishe* (towarzystwo pogrzebowe). Świadczenia te później ukryto i zakopano w ziemi w metalowych pudełkach. Mieszkańcy getta w obliczu wielkiego głodu, odizolowani od innych obywateli miasta, chrześcijan, trwali za wszelką cenę, walczyli o przeżycie, szukali „ratunku poprzez pracę” (*Unser einziger Weg ist Arbeit*). We wszystkich swoich poczynaniach udowadniali siłę ludzkiego ducha. W swoim pamiętniku *Wozu noch Welt – Aufzeichnung aus dem Getto Lodz*, który sam w sobie daje wspaniały obraz umysłu ludzkiego postawionego w obliczu tego, co znajduje się „poza pojmowaniem”, Oskar Rosenfeld napisał: „Tak więc – i to trzeba definitywnie stwierdzić raz na zawsze – utrata materialnej egzystencji, utrata mienia, utrata małej ojczyzny, utrata spokoju na rzecz troski o jutro, nie zdołały złamać ducha Żydów. Nawykli do cierpienia, umocnieni cierpieniem Żydzi byli niewzruszeni w swej wierze w oswobodzenie, w ocalenie, jak wielokrotnie w minionych wiekach. Nie widziało się łez, załamania. I jeszcze nikt nie wiedział, dokąd jechały transporty (Oskar Rosenfeld, str. 43, „Denn – das soll hier ein fuer allemal festgestellt warden – der Verlust der Existenz, der Habe, der Ruhe und die Sorge um das Morgen waren nicht imstande, die Seele der Juden zu brechen. Leidgewohnt und leidgestaertkt waren die Juden hier unerschuetterlich in

ihrem Glauben an Befreiung, an Erloesung, wie sooft in frueheren Jahrhunderten. Man sah keine Traene, keinen Zusammenbruch. Und noch immer wusste man nicht, wohin es ging.” (Aussiedlungstransport)).

Dnia 28 września 1944 roku, kilka dni zanim został wywieziony do Oświęcimia z 65 tysiącami pozostałych przy życiu Żydów, Oskar Rosenfeld sporządził ostatni wpis w swoim pamiętniku, z nagłówkiem „Koniec świata albo wybawienie”, co ukazuje triumf jego ducha i triumf nadziei nawet w tych ostatnich dniach życia, w ostatnich dniach istnienia getta: „Stoimy w obliczu końca świata albo w obliczu wybawienia. Już nawet łatwiej jest oddychać. Ludzie patrzą na siebie, jak gdyby chcieli powiedzieć: <<Rozumiemy się, prawda?>> (...) Śmiech może nas zdradzić, szczęśliwa twarz może sprowadzić niebezpieczeństwo na getto. (...) Serce pełne jest blizn, a mózg pokryty skorupą niespełnionych nadziei. Ale kiedy w końcu nadejdzie dzień „wyzwolenia”, wolimy być zaskoczeni niż przeżywać kolejne rozczarowanie (Oskar Rosenfeld, str. 298, „Man steht vor Weltuntergang oder Erloesung. Die Brust wagt bereits freier zu atmen. Die Menschen sehen einander an mit Blicken, die sagen wollen: Wir verstehen uns, nicht wahr! [...] Ein Lachen kann uns verraten, ein heiteres Gesicht das Ghetto in Gefahr bringen. [...] Das Herz is voller Narben, und das Hirn mit einer Kruste von fehlgeschlagenen Hoffnungen ueberzogen. Und wenn schliesslich der Tag der ‘Ausloesung’ vor der Tuer steht, will man sich lieber ueberraschen lassen, als wieder einmal eine Enttaueschung erleben.”).

Są jeszcze inne dowody na hart i zwycięstwo ducha: Gila Flam, (*Gila Flam Śpiewać, by przeżyć. Piosenki z łódzkiego getta 1940-1945, Singing for Survival – Songs of the Lodz Ghetto, 1940–1945*), amerykańska etnolog i muzykolog, rozmawiała z osobami ocalałymi z łódzkiego getta oraz zebrała imponującą kolekcję piosenek z getta, która jest żywym dowodem duchowej walki.

Niedawno odkryto inny dowód tejże duchowej walki – wiersze Abramka Kopolowicza. Ten chłopiec, który zmarł jako czternastolatek w Auschwitz, w wieku 12 lat pisał wiersze w getcie. Jego ojciec, który przeżył, odnalazł zeszyt na strychu domu, gdzie mieszkali, gdy powrócił z oświęcimskiego obozu. Chciałbym przeczytać wam jeden z tych wierszy pt. „Marzenie – sen”. Ponieważ Abramek napisał go po polsku, przeczytam wam wiersz w oryginale. Proszę wybaczyć, że będziecie słuchali mojej łamanej polszczyzny.

MARZENIE – SEN

[Jak?] ja mieć będę dwadzieścia lat,
[Zacznę?] oglądać nasz piękny świat.
[Usiadę?] w wielkim ptaku motorze
[I wzniosę się?] w wszechświata przestworze.
Popłynę, pofrunę w świat piękny, daleki.
Popłynę, pofrunę przez morza i rzeki.
Chmura siostrzycą, wiatr będzie mi bratem.
Się będą zdumiewał nad Nilem, Eufratem.
Zobaczę sfinksy i piramidy
W prastarym kraju boskiej Izydy.
Przepłynę nad ogrom wody Niagary.
Kąpać się będę w słońcu Sahary.
Przez szczyty Tybetu, co w obłokach giną,
Nad cudną, tajemną magów krainą.
A wydostawszy się spod skwarów mocy,
Będę szybował nad lodem Północy.
Przefrunę nad wielką wyspą kangurów
I nad szczątkami Pompei murów.

Nad świętą Ziemią Zakonu Starego
I nad ojczyzną Homera słynnego.
Się będę zdumiewał nad pięknym światem –
Chmura siostrzycą, wiatr będzie mi bratem.

Muszę ograniczyć się do tych kilku przykładów „uświęcania życia” (*kiddush hachaim*), które dla mnie jest najważniejszym wspomnieniem, najważniejszym elementem mojego myślenia o Łodzi i łódzkim getcie. Dziękuję, że wraz ze mną przebyliście tę podróż przez „ruiny pamięci” (Ida Fink). Dla mnie byliście tym „Innym” (Emanuel Levinas, *Nine Talmudic Readings, Dziewięć czytań talmudycznych*), tym istotnym zapotrzebowaniem na prace umysłową, psychiczną, która sama w sobie wspomaga i chyba stwarza życie. Nie będę zajmować się dyskusją teoretyczną, w której musiałbym dokonać generalizacji tego, co tu napisałem, w której musiałbym badać to, czego można się nauczyć z moich poszukiwań. Chciałbym tylko podać jeszcze jeden ogólny wniosek, który mi się nasuwa. W następstwie traumy, szczególnie tej międzypokoleniowej, przekazywanej dzieciom, które nigdy „tam” nie były, pamięć nie jest wyłącznie rejestrem tego, co się stało, lecz raczej ciągłym, trwającym przez całe życie opracowywaniem, myśleniem – świadomym i nieświadomym, procesem, na który składa się pamięć i wyobrażenie, i który sprawia, że bez końca wracamy do domu i „poznajemy to miejsce po raz pierwszy”. Takie opracowywanie jest niezbędne, aby móc żyć w obliczu zagrożenia ze strony tego, co jest „poza pojmowaniem”, tego, o czym nie można zapomnieć, tego, co wymaga, by „Inny” powiedział: „Tak, jestem stróżem brata mego” (Peter Silfen, czerwiec 2004, Kraków). Dla mnie wy byliście i jesteście tym „Innym”.

Chciałbym zakończyć utworem muzycznym, ponieważ muzyka jest pokarmem miłości i ponieważ ten konkretny utwór jest jeszcze jednym przykładem nieustannego poszukiwania, myślenia i pamiętania. Słowa utworu napisał Michael

Alpert, członek zespołu „Brave Old World” [„Stary wspaniały świat”]. Utwór pochodzi ze zbioru *Dus Gezang Fin Geto Lodż (Piosenki łódzkiego getta)*, zawierającego wiele piosenek napisanych i śpiewanych przez mieszkańców getta, spisanych po wojnie z pamięci przez ocalałych pracujących z Gilą Flam. Ten jednak utwór jest nowy, napisał go wiele lat po wojnie ktoś, kto nigdy „tam” nie był.

NIE SAMA RADOŚĆ

A teraz, dobrzy ludzie, słuchajcie uważnie,
A powiem wam, że
Na świecie po dziś dzień nie sama radość,
Ale tyle nienawiści, wrogości i bólu,
Tyle wojen i biedy,
Ludzi żyjących bez nadziei i bez chleba.
A kiedy pomyślę o tych wszystkich biedakach,
Niech spoczywają w pokoju,
Torturowanych, zamordowanych pośród krwi i cierpienia,
Moje klezmerskie serce przepełniają łzy.
Muzykanci, zagrajmy lament!⁵

⁵ Zaczęłam mój wykład cytatem z T.S. Eliota, chciałbym na koniec podzielić się z Państwem, cytatem również z Eliota, który zawdzięczam Magdzie Cechnickiej z Krakowa, drogiej koleżance, która 'mówiła' do mnie podczas konferencji tym cytatem:

“Umieramy z umierającymi
Popatrz, Oni odchodzą a my wraz z nimi
Rodzimy się z umarłymi:
Popatrz, oni powracają, i przyprowadzają nas wraz z nimi. (MM)

We die with the dying:
See, they depart and we go with them.
We are born with the dead:
See, they return, and bring us with them.